

Irena Tetlak

byłam kiedyś dzieckiem

próbowałam smaku śniegu
uszczypliwości mrozu
gdy język przywierał do szyby
a nos chciał poznać zapach
fauny i flory rysowanej ręką
niewidzialnego artysty

wtedy najbardziej kochałam
wiosnę w jaskrawym świetle
ziemię jeszcze wilgotną
lubiłam stukanie obcasików
na trotuarze osuszonym wiatrem
prawie do białości

wiodły mnie stopy ku marzeniom
jak po dywanie stokrotek

pozdrowienia

dzisiaj Celina otrzymała pozdrowienia
poczuła się jakby istniała
naprawdę nikt nie znał jej lepiej
jak słoneczne niebo i przestworza
rozpostarte na stelażu z gwiazd
od morza do morza przeżył
kobiecych utrapień spraw niezwykłych
możliwości nadludzkich i zakpień losu

nie spodziewała się aż tak
intymnego dotyku życia

działanie

Celina nie ma już czasu
na komplementy
na umizgi
zarzucanie przynęty
życie wypełnia poczuciem
ciągłej potrzeby działania
właściwej wartości
o optymalnym ciężarze
do udźwignięcia

do objęcia ramionami

może gdyby...

wejrzenia te od pierwszego razu
pozostały wśród drzew
w parku na ławce
w uścisku dłoni
niewzruszone żadnym cieniem
wspomnienie
które nie odchodzi do lamusa
pokusa nadal wielka
pachnie miętą i rumianek
wzbiera pożądanie
a może to tylko apetyt
na mały kęs
trudno to wiedzieć
gdy wszystkie piosenki świata

o miłości – zamiast powiedzieć mi
nuta za nutą wyśpiewują ci psalm

wariacje na temat raju

żyję w dobie kobiet pozbawionych mężów
w pokucie za nic niewarte grzechy
pławiąc się w obfitości jabłek
soki przelewają winne
bez żadnej pokusy
otoczone rojem węży na progu sadu

wydmy

chciałam policzyć ziarenka
szłam wzdłuż plaży
lepka od słońca
cień włókł się za mną
stawał ciężarem
to znów przywierał lekko
szczelnie do wilgotnej skóry
gorący oddech zderzał
się z ożywczym podmuchem
mewa machała skrzydłami
zanim wzbiła się krzyczała
rażona światłem
rozpięta zawłaszczała przestrzeń
szyła błękitne niebo zygakiem
potem jakby pruć ścieg
spadała zwinnie zwijając skrzydła
na piaskową ścieżkę
wijącą się przez sosnowy las
rozgrzany słońcem zapach żywicy
wlewał się w nozdrza
eteryczność krążyła w ekoobiegu
myśli gruntowały drogę marzeniom
szlak rozsypywał się miałko
przyjazny stopom trylionem ziarenek

pokolenie przymiotnika

co z wami się stało
przymiotnik ważniejszy
wartość rzeczownika
równa zero
w takim układzie wymiana
myśli z narodem
stała się
zbędna dla rzeczownika
on był obywatelem
teraz już tylko sfrustrowany
zawiedziony
zmęczony
niezaangażowany
w codzienność
(cóż oznacza codzienność)
wspomnianego narodu
też jakby nie było

wiosenne ptaki

niby wszystko jest
tak jak być miało
nastała kolejna wiosna
przylatują znów bociany

lilaki ozdobią niebawem ganek
błękitnie niebo
forsycja uśmiecha się słonecznie
w moim rodzinnym domu
jest pełno miłości
bezpiecznie
więc trzeba się dzielić
jak na przednówku – nawet garścią pszenicy

goście ze wschodu
wiją z nadzieją nowe gniazda

kolejną wiosną powrócą znów ptaki
i ludzie z radością do własnego domu
odgruzują pola ogrody i parki
garścią pszenicy obdziała obficie

przetopią czołgi na wolności szalki
udźwigną – poniosą świat w nowe życie

życie nie przyzwyczai się do wojny

dym zamiast powietrza
gruz w gardle
słowa uwięzłe w piwnicach
wysuszone ży do cna
w obliczu bestialstwa
wypalona ziemia
i tylko biały zawilec
wygląda spod kamienia
tej wiosny znów z nadzieją
nie przyzwyczai się do wojny
rozkwitnie tu za rok

barbarzyńca

morduje bez mrugnienia okiem
choć tak naprawdę chce zabić dusze

wie że gdzieś tam jest dobro
chce z dziką satysfakcją ukorzeń zło
bestia cały czas manipuluje

przybiera zawiadłą twarz *tkacza*
niby anioł z przylepionym uśmiechem

by chichot oprawcy trwał dłużej
nad ciałami zgwałconych
umie nawet przeżegnać się

święconą wodą rozcieńczyć krew ofiar

wyspa węży

na morzu czarnym od żałoby
tryska czerwona krew

ukraińska
a blisko być może mołdawska

dokąd dopłynie
barbarzyńca zalewa brunatną falą

prosto w oczy a jakby zmienacka